

Jan Rokita: Ostatni dzwonek [FELIETON]

Casus „banu” na Trumpa to już nie ostrzeżenie. To alarm dla każdego racjonalnego liberała, świadomego, że bez wolności słowa ład liberalny staje się martwy. To ostatni dzwonek także dla Polski, aby do konstytucji, a także do prawa karnego, wprowadzić mocne gwarancje i surowe sankcje, na wypadek jeśli taka próba została kiedyś podjęta przeciw naszemu krajowi – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”.

Dla politycznego liberała (a za takiego z wszystkimi zastrzeżeniami nadal się uważam) – to jest moment krytyczny. Taki, w którym w liberalnej głowie zapaliły się wszystkie czerwone lampki i błyskają jakby oszalałe. Przyczyna tkwi oczywiście w zdarzeniach politycznych, jakie mają miejsce w Ameryce. A ponieważ to Ameryka – to zasadna jest obawa, że wydarzenia te są zapowiedzią kierunku, w jakim zmierza cały polityczny świat, no... przynajmniej ta jego „zachodnia”, demokratyczna część. Nie, nie idzie mi wcale o zamieszki i „zdobycie” waszyngtońskiego Kapitolu przez sfanatyzowany tłum. Bo choć to fakt zaiste dziwaczny i sensacyjny, to chłodny obserwator jest przecież świadom, że ataki tłumy na parlamenty, gmachy rządowe, próby niszczenia ich, czy podpalania, są z pewnością niedobłą, ale zwyczajną częścią ustroju wolności. Jeśli w zdarzeniach na Kapitolu jest istotnie coś dziwaczego i sensacyjnego, to jedynie obnażenie tego, iż gmach parlamentu największego mocarstwa świata mógł być tak łatwym łupem dla sfanatyzowanego tłumy. Gdyby paryski Pałac Elizejski był tak chroniony jak Kongres USA, to w ciągu ostatnich dwu lat już parokrotnie byłby splądrowany i podpalony przez rozwścieczone „żółte kamizelki”, żadnym sposobem nie mogące się jednak do niego dostać, choć był to ich nieskrywany zamiar.

Moment krytyczny amerykańskich wydarzeń – to decyzja Jacka Dorsey'a i Marka Zuckerberga, aby w toku kryzysu „zbanować” Donalda Trumpa, jako politycznie odpowiedzialnego za rozruchy. Obaj plutokraci mogą skutecznie odebrać prawo publicznego występowania Trumpowi, gdyż

*Wygląda na to, iż dwóm
magnatom powierzyliśmy,
sami nie wiedząc ani jak, ani
kiedy, kluczową w ustroju
liberalnym misję ostatecznego
definiowania granic wolności
słowa*

ostatnimi laty
zarządzane przez
nich koncerny
Twitter i Facebook
zyskały de facto
status
monopolistycznego
kartelu panującego
na rynku nowych
mediów. Czyli w
praktyce – nad
najważniejszymi

obecnie narzędziami komunikacji politycznej. Nawiasem mówiąc, ów status udało im się osiągnąć z walną pomocą rządu amerykańskiego, który dla tzw. „patriotyzmu gospodarczego” walczył *par force* w całym świecie o ich interesy (i zapewne będzie to czynić nadal). Oczywiście możliwości Dorsey’a i Zuckerberga biorą się także z gwałtownych przeobrażeń stylu demokratycznej polityki, jakie prezydentura Trumpa, rządzącego za pośrednictwem Twittera, tak zdecydowanie przyspieszyła. I jak to bywa ze wszystkim, co rodzi się w Ameryce, demokratyczni politycy na świecie, nawet szczerze nienawidząc Trumpa, zaczęli wzorować się na nim, gdy idzie o używanie nowych mediów, jako narzędzia władzy. Tak czy owak jesteśmy dziś w sytuacji, w której dwaj globalni plutokraci, na dodatek dość ekscentryczni (jeden zwykł ponoć słuchać birmańskich mistrzów buddyzmu), są nie tylko dysponentami kanałów komunikacji politycznej w systemach demokratycznych, więc według własnego widzimisię mogą je w każdej chwili zablokować. Ale wygląda również na to, (co powoli winno docierać do naszej świadomości), iż to właśnie owym dwóm magnatom powierzyliśmy, sami nie wiedząc ani jak, ani kiedy, kluczową w ustroju liberalnym misję ostatecznego definiowania granic wolności słowa.

Niezwykle ciekawe jest w tej mierze oświadczenie rzecznika Twittera. Koncernowi nie spodobały się dwa ostatnie wpisy Trumpa, jeden o tym, że głos milionów jego wyborców będzie słyszany „przez długi czas”, drugi – że planuje zbojkotować zaprzysiężenie nowego prezydenta. Zwłaszcza ten drugi wpis jest zdaniem rzecznika „wzywaniem do ataku”, gdyż Trump zawiadamiając swoich zwolenników o tym, iż go tam nie będzie, przesyła zakodowane wezwanie do ataku na ową uroczystość. Wygląda więc na to, że informacji o swojej nieobecności

ustępujący prezydent nie może upubliczniać, gdyż tak drastycznie wykraczają one poza granice wolności słowa, że karą musi być „wieczysty ban” dla Trumpa. Nie tylko na dotychczasowym jego koncju, ale także na każdym innym (nawet rządowym), na którym próbowałby się odezwać. Pokrętność tej logiki widać na pierwszy rzut oka. Ale rzecz nie w owej pokrętności, lecz w zdumiewającym samym fakcie, iż rzecznik jakiejś firmy, notowanej na giełdzie nowojorskiej, stał się najwyższym i ostatecznym sędzią na temat tego, co wolno powiedzieć, a czego już w demokratycznym kraju powiedzieć nie wolno. Prawdę mówiąc najbardziej zdumiewające jest to, że owo (co tu owijać w bawełnę) koszmarnie kuriozum w liberalnym kraju tak niewielu ludzi zdumiewa. I że tak powszechnie zdają się oni nie dostrzegać dalekosiężnych skutków tego precedensu.

Najbardziej zdumiewające jest to, że owo koszarne kuriozum w liberalnym kraju tak niewielu ludzi zdumiewa. I że tak powszechnie zdają się oni nie dostrzegać dalekosiężnych skutków tego precedensu

Jest nawet gorzej. Oglądam w CNN oświadczenia działaczy na rzecz praw człowieka, zachwyconych wieczystym „banem” na Trumpa na Twitterze. Słyszę żonę Baracka Obamy niezadowoloną z faktu, iż „ban” na

Facebooku nie jest wieczysty, a Zuckerberg sugeruje tylko jego czasowość. Czytam Donalda Tuska, dla którego sprawa jest jeszcze jedną okazją do ulubionych figli w sieci. I nie mogę uchronić się od wrażenia, że patrzę na lunatyków, nieświadomych w ogóle tego, że stąpają po stromym dachu, z którego za chwilę runą na ziemię. Ideologiczna i polityczna zaciekłość jest chyba tak wielka, że przysłania po prostu możliwość rozumienia własnych czynów. Więc oddaliby pewnie władzę diabłu, jeśli ten obiecałby tylko zamknąć usta znieawidzonemu Trumpowi. Ja tymczasem bez wahania wolałbym nawet cenzurę prewencyjną w rękach jakiejś państwowej dyktatury, niżli władzę nad wolnością słowa oddaną bez walki w ręce kapitalistycznych magnatów. Państwową dyktaturę można zawsze w końcu obalić (jak wiemy z własnego doświadczenia), a państwową cenzurę zlikwidować przy pomocy prawa. Magnatom raz oddanej kontroli nad wolnością słowa,

już się nie odbierze. Będą jej używać Zuckerberg czy Dorsey, a także ich następcy, tak jak będzie to odpowiadać aktualnym interesom ich koncernów. Dziś idą przeciw Trumpowi, jutro zniszczą rząd, albo jakąś niewygodną dla ich biznesu partię polityczną w dowolnym demokratycznym kraju. Casus „banu” na Trumpa to już nie ostrzeżenie. To alarm dla każdego racjonalnego liberała, świadomego, że bez wolności słowa ład liberalny staje się martwy. To ostatni dzwonek także dla Polski, aby do konstytucji, a także do prawa karnego, wprowadzić mocne gwarancje i surowe sankcje, na wypadek jeśliby taka próba została kiedyś podjęta przeciw naszemu krajowi. Choć i tak nie mam już pewności, że mamy jeszcze moc, aby się w takiej próbie obronić.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

